Rok II. Lwów 1 Sierpnia 1891. **Nr. 15.**

GWIAZDA KATOLICKA

czasopismo ludowe, naukowo-religijne, polityczne i społeczne.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Przedpłata wynosi:
całorocznie . . . . 4 złr.
półrocznie . . . . 2 „
kwartalnie . . . . 1 „

Redakcya i Administracya „*Gwiazdy katolickiej*“ we Lwowie, przy ulicy Ossolińskich l. 11.

Ogłoszenia zamieszcza się za opłatą 6 ct. od jednego wiersza w jednej szpalcie drobnym drukiem.

Rękopisów nie zwraca się. Odpowiedzi następują tylko na listy opłacone.

WYDAWCA I REDAKTOR: **KS. MARCELI DZIURZYŃSKI.**

O niektórych pobożnych zwyczajach

w czasie modlitwy.

Modlitwa jest podniesieniem ducha i serca do Boga, jest rozmową z Panem Bogiem.

Gdy się modlimy, nie koniecznie potrzeba modlić się g ł o ś n o, bo to do istoty modlitwy nie należy, jednakowoż kiedy tylko można, zwłaszcza przy wspólnej modlitwie w domu lub w kościele, zaleca się odmawianie modlitwy g ł o ś n o.

Św. T o m a s z z A k w i n u podaje na to t r o j a k i p o w ó d. Przez ustne i ile możnosci głośne odmawianie modlitwy, pisze ten święty nauczyciel Kościoła — wzbudza się i zwiększa wewnętrzne nabożeństwo w sercu modlącego się. Gdyby atoli głos zewnętrzny przeszkadzał wewnętrznemu skupieniu ducha, wówczas trzeba się modlić po cichu i więcej się starać o to, aby serce wznosiło się do Boga. O Annie, matce proroka Samuela, czytamy w Piśmie św., że »mówiła, t. j. modliła się w sercu swojem, a tylko usta się ruszały, ale głosu jej słyszeć nie było«. (Księgi król. 1. 13).

P o w t ó r e, człowiek powinien się modlić głośno, aby oddać P. Bogu winny dług. Człowiek jest dłużnikiem P. Boga i co do duszy i co do ciała; duszą więc i ciałem winien P. Bogu służyć. Gdyby tylko dusza nasza była darem Bożym, to możnaby mówić, że wystarczy modlić się tylko w m y ś l i, ale ponieważ i ciało mamy także od P. Boga, więc stosownem jest, aby i ciało, t. j. wargi nasze dzięki składały Bogu i prosiły o nowe łaski.

Po trzecie, modlitwa głośna i ustna jest wynikiem serdecznej modlitwy myślnej. Gdy dusza nasza przepełniona jest nabożeństwem i miłością ku Bogu, wtenczas przemocą pokazuje to na zewnątrz i głośno objawia swą wdzięczność dla Boga, lub głośno objawia swe pragnienia i prośby.

Pobożne osoby modliły się i modlą z podniesionemi rękami Podnosić ręce przy modlitwie jest to starodawny zwyczaj. Już Abraham mówił do króla Sodomy: „Podnoszę rękę moją do P. Boga , dzierżącego niebo i ziemię". Podczas walki żydów z Amalekitami modlił się Mojżesz i podniósł ręce do góry i wtedy żydzi zwyciężali, gdy zas ręce opuścił, zwyciężali Amalekici.

Dawid modlił się często z podniesionemi rękami. tak samo i król Salomon. I inne narody nawet pogańskie modliły się w podobny sposób. Sławny mędrzec pogański Arystoteles pisze: że „wszyscy ludzie do nieba ręce podnoszą, gdy się modlą".

I cóż ten zwyczaj oznacza? Oto, jak tonący mimowolł wyciąga ręce błagając pomocy, tak i my modląc się a podnosząc ręce do nieba, dajemy do poznania, żeśmy biedni, że potrzebujemy przebaczenia i pomocy od Boga, i że się spodziewamy tej pomocy, podobnie jak spodziewa się jałmużny i wsparcia żebrak, gdy ręce wyciąga do przechodźców. Nadto podnoszeniem rąk lub ich składaniem przy modlitwie, wyrażamy to, że modlitwą chcemy a przynajmniej powinniśmy łączyć dobre uczynki, bo ręce, jako narzędzia czynów, oznaczają dobre uczynki.

Wreszcie modlimy się stojąc, klęcząc lub leżąc na ziemi krzyżem. Stojąc modliła się Judyta, stojąc modlimy się gdy w kościele śpiewają Magnifikat, lub Te Deum laudamus. Stoimy też podczas czytania Ewangelii w czasie Mszy św. a to oznacza, że gotowi jesteśmy do pełnienia woli Bożej, że gotowiśmy czynić to, co Ewangelia św. nakazuje. Nasi przodkowie, dawni Polacy, wyciągali podczas Ewangelii miecze z pochew na znak, że gotowi są bronić prawd Wiary św.

Modlimy się też klęcząco, a tak samo modlił się Dawid i Salomon. Sam Pan Jezus modlił się przed śmiercią w Ogrojcu „klęknąwszy na kolana". (Łuk. 22—41) Z listów św. Pawła i z dziejów Apostolskich dowiadujemy się, że pierwsi chrześcianie prawie zawsze modlili się klęcząco.

Klękanie w czasie modlitwy oznacza nasze upokorzenie się przed P. Bogiem; klęcząc uznajemy naszą niskość i przyznajemy, żeśmy w obec Boga nędznym prochem, a takie upokorzenie jest

nam bardzo potrzebne, gdy chcemy, aby Pan Bóg nasze modły wysłuchał, bo On tylko pokornym daje swą łaskę a pysznym się sprzeciwia.

Klękanie przy modlitwie jest nadto znakiem gorącej modlitwy. Prorok Daniel, kiedy prosił P. Boga o odwrócenie grożącego mu niebezpieczeństwa, „trzy razy na dzień klękał na kolana swoje“ i modlił się. Pan Jezus w Ogrojcu gorąco się modlił, dlatego klęczał; św. Szczepan gorącą się modlił za nieprzyjaciół swoich, gdy go kamienowano i klęczał wtedy; św. Piotr Apostoł, gdy chciał raz wskrzesić zmarłą kobietę, klęcząco się modlił.

Upadanie na twarz czyli leżenie krzyżem oznacza usposobienie pokutne. Tak modlił się król Dawid o ocalenie syna swego a i Pan Jezus również gdy w Ogrojcu usilniej się zaczął modlić „padł na oblicze swoje“. (Mat 26, 39). Upadając przed P. Bogiem usiłujemy przebłagać gniew jego.

Przy modlitwie bijemy się też w piersi na znak żalu i skruchy, schylamy głowę na znak pokory, aby tem łatwiej ściągnąć na siebie błogosławieństwo Boże.

Te wszystkie pobożne zwyczaje nie należą wprawdzie do istoty modlitwy, to znaczy że i bez nich modlitwa pozostanie modlitwą, jeżeli tylko umiemy wznieść serce i ducha do Boga, jednakowoż nie da się zaprzeczyć, że gardząc niemi odejmujemy siłę błagalną naszej modlitwie i osłabiamy ją. Dla tego nigdy nie należy zaniedbywać tych zwyczajów, bo one czynią modlitwę naszą milszą w oczach P. Boga, rozpalają w sercu większą pobożność i przyczyniają się do tego, że modły nasze prędzej trafiają do tronu Bożego

Niema to jak polska sukmana.

Przez Sta...

I.

W małem miasteczku... nad Wisłą gwar i wielka ciżba, ale nic dziwnego, bo to dziś jarmark jesienny. Gospodarze posprzątawszy zboże, zdążyli wymłócić i sprzedać pszenicę, więc zjeżdżają się z całej okolicy do miasta po buty i kożuchy. Gosposiom zaś potrzeba dzierżek, fasek i garnków, toć i one na jarmaku być muszą. A ponieważ i młodzież ma swoje interesa, więc przed budami ścisk i krzyki, nawoływania i śmiechy.

Do jednej z bud, z gotową odzieżą, zbliża się poważny gospodarz, w czystej płótniance i czapce na głowie. Obok Wojciecha (bo takie jest imię gospodarza) kroczy syn jego Antek, dorodny młodzieniec, obrany w piękną sukienną sukmanę, i żona Małgorzata, z koszykiem na ręku.

— Już się tak ojciec nie gniewaj na Antka — mówi do męża, — że zamiast sukmany chce sobie kupić surdut; sukmana widzisz zawadza przy robocie.

— Antkowi nie chodzi tak bardzo o robotę, on się kłopoce, że w sukmanie ciężko mu będzie tańcować na Jagusinem weselu.

— To jak tatusiu chcecie, to surdut obrócę do roboty, bo tańszy i krótszy, a na wesele...

— Bajesz! W kacabajce tak samo możesz pracować jak w surducie, a wyglądasz przynajmniej tak, jak na chłopa przystoi, surduty zostaw...

— A dyć ojciec, patrz ino — przerwała prędko Małgorzata — tam kumotr Jacenty ojciec Hanki, kiwają na cię, idź do nich, idź, a my już z Antkiem kupimy co najlepsze i najtańsze.

Wojciech poszedł w stronę, gdzie stał Jacenty, ojciec przyszłej żony Antka, a Małgorzata rada, że się pozbyła męża, poszła prosto do budy ze swoim jedynakiem.

Niski, chudy żydek jak tylko ich spostrzegł, zaczął wołać na cały głos:

— Ny pani gospodyni i wy młody gospodarzu, czego to uważacie? Mam fajn zachy: surduty, kamizelki, szynele, patrzcie jaki to towar, a jak zrobiony! wszystko to z Berlina od nadwornego cesarskiego krawca; pan burmistrz z miasteczka...

— A macie kupiec sukmany? — spytał Antek.

— Was ist das sukmana? jaki sukmany? to teraz nie w modzie. Przypatrzcie się ino temu surdutowi...

— Toć muszę kupić surdut, kiedy sukmany nie ma — mówi Antek do matki.

— Toć że musisz; ktoby tam czekał aż krawiec zrobi; ojciec zwyczajnie jak to nasz ojciec, nie lubi kupować gotowego przyodziewku — odpowiada Małgorzata, bo bardzo kocha syna i myśli, że w surducie będzie mu okrutnie pięknie.

Antkowi przypomniała się rozgniewana twarz ojca, więc stał nie wiedząc co począć; chciało mu się koniecznie surduta, ale tatuś jak się rozgniewają, to nie żartują, wiedział o tem dobrze. Sprytny żydek spostrzegłszy wahanie się młodzieńca, sam rozebrał go ze sukmany.

— Aj! jak wy fajn wyglądacie w tym surducie — wołał kupiec składając ręce, gdy Antek trochę zmięszany, ubrawszy się w surdut spoglądał po sobie — powiedzcie sami pani matko czy wasz syn szykownie nie wygląda? Każdyby przysiągł, że to pan jaki.

Co prawda Antkowi nie było bardzo ładnie w surducie skrajanym niezgrabnie, uszytym z lichego sukna, ale poczciwa Małgorzata patrzała na swego jedynaka jak na cudowny obraz; a w końcu, gdy żyd zażądał za surdut połowę tego, co kosztowała sukienna sukmana, rzekła do syna:

— Antek toć to już trzeba kupić, ale się spiesz — szepnęła ciszej — bo jak tatuś nadejdą, to ci każą zrobić u krawca sukmanę.

Antek oglądał się trwożliwie i mówi:

— A jak się tatuś bardzo rozgniewają?

— A dyć już się tak nie bój; ja ich ułagodzę. Jak raz surdut będzie zrobiony to go tatuś na ogień nie wrzucą.

Kupiec zacierając ręce zawinął spiesznie surdut, który choć połowę tyle kosztował co sukmana, był przepłacony, gdyż uszyto go z takiego sukna, które robią ze starych wełnianych płatów.

Zapłaciwszy żydowi udała się Małgorzata z synem ku zajazdowi, gdzie na nią czekał Wojciech z Jacentym.

Antek zwolnił kroku, trzymając się za matką, bo kupiony przeciw woli ojca, surdut sprawiał mu dziwny niepokój.

II.

Już od dwóch dni trwa wesele w Zalesiu u starego Wojciecha, który ma oprócz znanego nam syna Antka, jeszcze córkę Jagusię, i tej to córce wyprawia wesele.

Z pomiędzy wszystkich dziewcząt najładniejszą jest Jacentowa Hanka, narzeczona Antka. Wszystkich też oczy zwracają się na nią, a starzy gospodarze szepcą:

— Już niech tam mówią co chcą młodzi, ale najładniejszy jest dawny strój polski; patrzcie jak to w nim ładnie Hanusi.

I prawda. Hanka ubrana jest w ciemno zieloną, sutą, krótkawą spodnicę, dwa razy obszytą bladoróżową fambelą; gorsecik ma także różowy i biały muślinowy fartuszek z szeroką koronką. Długie ciemne warkocze zapletła różowemi wstęgami, a do korali których kilka sznurów czerwieni się na białej bufiastej koszulce, przypięła szeroką wstążką zieloną. Na głowę włożyła małą, tiu-

lową, haftowaną kapkę, suto opiętą gałązkami rozmarynu, których końce przykrywa pęk różnokolorowych wstążek.

W tej chwili stoi Hanka przy drzwiach i zwijając w ręku białą chusteczkę mówi do Antka:

— Czemużeś Antku nie został w sukmanie? Żebyś ty wiedział jak ci w tym surducie brzydko, nigdybyś go na siebie nie włożył.

— Hanuś nie gniewaj się na mnie; już tatuś ledwo mi kijem nie podarli surduta na plecach; a tu jeszcze ty! Widzisz płótnianki i sukmany już teraz nie modne.

— Co to niemodne! każdy człowiek poczciwy zachowuje ze czcią zwyczaje ojców.

— Ty tak mówisz, bo tak w książkach stoi; ale książki też piszą, że człowiek, co ma rozum nie trzyma się jak pijany płota wszystkiego co stare, że to teraz ludzie porobili dużo wynalazków, że trzeba inaczej żyć, niż nasi ojcowie, bo teraz inne czasy.

— Prawdę mówicie Antku, że każdy może i powinien korzystać z tego co mądrzy ludzie wynaleźli dobrego.

Ale co do stroju, to surdut wcale nie lepszy od sukmany. A przytem każdemu brat bliższy niż sąsiad. Więc zamiast surduty kupować od jakichś obcych przybłędów, lepiej kazać sobie uszyć ubranie naszemu poczciwemu krawcowi, bo on i towar da rzetelny i mocniej uszyje, a nadto jest Polakiem więc bratem, a żyd Niemiec, to tylko sąsiedzi.

— Niby ty to prawdę mówisz Hanka; już ci też się nie będę sprzeciwiał, bom chory, i do gadania, choćby z tobą, nie mam ochoty.

— Hanka niespokojnie spojrzała na Antka i zatrwożyła się bardzo; chłopak był blady, usta miał spieczone, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

— Antku co ci to? możeś zanadto tańcował? pójdę powiedzieć matce.

— Nie, nie, bo oni zaraz lamentują, ale ojcu...

W tem Wojciech, stojący tuż za młodymi, spytał:

— Cóż tam ojcu?

Wojciech chciał się syna zapytać, co mu dolega, ale widząc, że chłopak ledwo się trzyma na nogach, zaprowadził Antka do stajni i kazał mu się położyć, myśląc, że skoro wypocznie zdrów będzie jak ryba.

Lecz niestety omylił się biedne ojczysko. Wesele się skończyło, goście się porozchodzili, Jagusia odjechała z mężem, ale Antek nie wyzdrowiał.

Ze stajni przeniesiono go do izby, a Wojciech sam pojechał po doktora. Ten gdy chorego obejrzał, pokręcił głową, ale Antkowi powiedział, że zdrów będzie, byle robił wszystko, co mu rozkaże. Skoro jednak wrócił do pierwszej izby z Wojciechem, rzekł:

— Źle mój człowieku, bo syn wasz ma ospę, jest to bardzo niebezpieczna i zaraźliwa choroba; musiała przyjść do nas z daleka, gdyż dawno nie mieliśmy jej w naszych stronach.

Naraz rzucił doktor okiem na stronę, gdzie leżał porzucony surdut Antka.

— A to zkąd macie? — zawołał — już przez te sprowadzane ze świata rzeczy, tyfus mieliśmy w naszem miasteczku, kto wie czy i ospa nie przywędrowała z tym surdutem.

Wojciech opowiedział panu doktorowi, gdzie i od kogo surdut kupiono, dalej że Antek ciągle go nosił, a na weselu siostry bezustannie w nim tańcował.

— No to nie ma wątpliwości — odparł doktor — że zaraza była zaczajona w surducie, a przez rozgrzanie w czasie tańca przeszła w waszego syna; zrobię co będzie w mej mocy, aby wam dziecko uratować; nie daj tylko Boże, żeby się inni od Antka zarazili.

— A ten surdut, co zrobić z nim panie doktorze?

— Jabym wam radził spalić ten łachman; nie powinien go już nikt nosić.

III.

W dwa miesiące później, jakoś w pierwszą niedzielę Adwentu, smutno było w chacie Wojciecha, Antek siedział przy oknie wpatrywał się w ośromiałe drzewa. Łzy kręciły się w oczach chłopaka zmienionego do niepoznania; jego niegdyś piękna, młoda twarz, dziś była sina i pełna głębokich blizn, jakie ospa pozostawia po sobie.

— Antku mój synu kochany — dał się słyszeć naraz głos z pod pieca — nie desperujże tak ciągle. Bóg zesłał na nas to nieszczęście, ze świętą Jego wolą pogodzić się nam trzeba.

— Oj, tatusiu, tatusiu, gdym ja to nie był winien, lżej byłoby mi na sercu. Ale jak sobie wspomnę, że to was nie słuchałem i takie ściągnąłem na nas wszystkich nieszczęście, to mi się zdaje, że już nie ma dla mnie doli na świecie

— Wiesz synu, drogo zapłaciłeś tę wielką naukę, najpierw, że ojca słuchać trzeba, kiedy dobrze radzi, a powtóre, że porzu-

canie starych zwyczajów nie przynosi człowiekowi szczęścia. Gdybyś nie był pogardził sukmaną nie płakałbyś dziś na swoją dolę. Czas też już mój chłopcze wziąść się do pracy, bo próżnowanie nie łagodzi żałości.

— O mój ojcze wszystko zrobię co każecie, ale mnie już życie niemiłe, bo...

— Bo co? o cóż ci jeszcze chodzi?

— Nie widzicie jak ja wyglądam — już Hanka ani spojrzy na mnie.

— Nie posądzałbyś tego poczciwego dziewczęcia o taki brak serca i rozumu. Czy to nie wiesz kto ciebie, matkę i nasze sługi pielęgnował, gdyście mi tu wszyscy leżeli jak w lazarecie?

— Bo może Hanka nie wiedziała co to ospa robi z człowiekiem. Od dnia, kiedy pierwszy raz wstałem już się u nas nie pokazała.

— Toć prawda; ale widzisz Hanusia sobie myśli, kiedy wszyscy wyzdrowieli, po co ja tam będę chodziła. Teraz na nas kolej mój synu iść do Jacentego i podziękować za ich dobroć.

— Wszystko tatusiu, ino mi tam nie każcie chodzić; może później nie będzie tak znać na mnie tego choróbska.

Wojciech spuścił głowę, która mu w ciągu dwóch miesięcy zupełnie posiwiała, i zamyślił się nad swoją niedolą.

I nic dziwnego, że się martwił biedny człowiek. Małgorzata pielęgnując syna, zaraziła się i umarła, nadto dwie dziewczyny służebne i parobek zachorowali także na ospę; więc tylko Wojciech sam był zdrowy. Dowiedziawszy się o tem Jagusia przyjechała do ojca, ale i ona uległa zarazie i życiem przypłaciła swoje przywiązanie do rodziny. Gdy jeszcze zachorowały dwie dziewczyny, które były na weselu Jagusi i z Antkiem najwięcej tańcowały, taki się stał popłoch we wsi, że nikt nie chiał ani na chwilę wnijść do Wojciechowej chaty. Biedny człowiek głowę tracił ze zmartwienia i żałości, gdy pewnego dnia przyszła Hanusia i powiedziała Wojciechowi, że tak długo zostanie, dopóki chorzy nie wyzdrowieją, lub ona nie zachoruje.

Cała wieś się dziwiła, że Hanka nic nie dba o zdrowie i swoją urodę; niejeden nazwał ją głupią, ale ludzie, mający więcej Boga w sercu, nie mogli się nachwalić odwagi i dobroci dziewczęcia.

Pan Bóg jednak strzegł Hanki, bo wcale się nie zaraziła, a mimo niespanych nocy i ciężkiej pracy wyglądała ładniej jak zwykle, śliczna jej twarzyczka jaśniała blaskiem miłości i poświęcenia.

Dopiero gdy pochowała Małgorzatę i Jagusię, a słudzy wyzdrowieli i Antek zaczął wstawać, opuściła Hanusia dom Wojciecha, który dziś po dziesiąty raz rozważywszy, co go spotkało, zawołał mimowoli.

— I powiedzieć, że to przez jeden nieszczęśliwy surdut, tyleśmy wycierpieli!

W tem drzwi się otworzyły i do izby wszedł Jacenty z Hanusią. Antek na widok dziewczęcia, ukrył twarz w dłoniach; ale Hanka spostrzegła już, jak go choroba okropnie zeszpeciła. W pierwszej chwili zbladła i cofnęła się wnet przemogłszy odrazę, zbliżyła się do biednego chłopaka i mówi z dobrocią:

— Czemu się tak odwracasz odemnie Antku, jakbyś co złego zrobił?

— Oj, zrobiłem ci ja niemało złego; z mej to winy matka i Jagusia leżą w ziemi — tu szlochanie nie pozwoliło dalej mówić Antkowi.

— Nie płacz już Antku — przerywa Hanka — matka błogosławiła cię w godzinę śmierci i prosiła mię...

— Oj, oj, Hanusiu, ty już pewno nie będziesz mnie chciała znać...

Hanka wzięła Antka za rękę i klękając przed Wojciechem i Jacentem, którzy po cichu coś radzili, rzekła:

— Błogosławcie nam ojcowie na wspólną dolę. Sumieniabym chyba nie miała, gdybym tobą Antku pogardziła teraz, kiedy jesteś nieszczęśliwy i żałujesz za to, co się z twojej winy stało złego.

— Niech wam Bóg błogosławi dzieci — mówią ojcowie ze łzami, a Jacenty dodaje — spamiętaj to sobie Antku na całe życie, że nie ma jak się trzymać starych naszych zwyczajów i polskiej sukmany.

Sprawozdanie

Krakowskiego „Towarzystwa oświaty ludowej".

Z nadesłanego nam sprawozdania krakowskiego „Towarzystwa oświaty ludowej" (za rok 1890) dowiadujemy się, że Towarzystwo to krząta się nader gorliwie koło podniesienia oświaty ludu naszego. Dzięki za tę gorliwą działalność należą się Wydziałowi Towarzystwa, a przedewszystkiem jego prezesowi *ks. kanonikowi Pelczarowi* i sekretarzowi p. Dadlezowi, którzy nie szczędzą sił i pracy, by tylko ludowi naszemu przysporzyć światła i nauki, za którą i dobrobyt się podniesie.

Sprawozdanie wykazuje, że Towarzystwo w ostatnich latach zdwoiło swą czynność w zakładaniu nowych czytelni, których liczba wynosi obecnie 345. Czytelnie te zasila Towarzystwo pożytecznemi książkami, a dla uboższych prenumeruje znaczną liczbę czasopism czyli gazetek. Pocieszającem jest to, że wieśniacy zaczynają już tracić uprzedzenie i naganny wstręt do czytelni i do nich coraz więcej się garną. Nieprzyjaźnie względem czytelni występują jak zwykle, karczmarze. W paru tylko wsiach niektórzy nierozsądni włościanie straszą uczęszczających do czytelni, że ci będą musieli płacić za czytanie. Smutne te objawy są jednak coraz już rzadsze a chęć do czytania wzrasta u ludu naszego coraz więcej. Starsi wiekiem włościanie czytają mniej, dla tego, że czytać nie umieją, za to młodsi gospodarze i młodzież dorastająca spieszą chętnie do czytelni i czytają wiele. Z tego zaś korzystają i starsi, bo zwykle w czytelniach czytają na głos. Najbardziej lubią czytać żywoty Świętych Pańskich i powiastki moralne; książki gospodarskie niebywają w niektórych czytelniach ruszane.

Kierownicy czytelni po wsiach donoszą Towarzystwu, że skutki czytelni są coraz widoczniejsze i pomyślniejsze, a wogóle twierdzą i słusznie, że czytelnie odwodzą od karczmy, stawiają tamę pijaństwu i przyzwyczajają lud do pilnowania domu, do oszczędności. Wiele już kobiet dziękowało czytelniom za to, że ich mężowie więcej pilnują domów. Obok tego wzrasta moralność i wieśniacy przychodzą do poznania, że są Polakami, co jest bardzo radosnym objawem, bo do niedawna jeszcze było tak, że chłopek nasz uważał Polaka za swego wroga, choć sam jest Polakiem i synem polskiej Ojczyzny.

Nadto czytelnie wpływają wiele na polepszenie i podniesienie gospodarstwa w polu i w domu, zwłaszcza u tych wieśniaków, którzy czytają książeczki gospodarskie i słuchają ich rad. W dalszym ciągu podaje sprawozdanie treść licznych sprawozdań nadesłanych przez kierowników czytelń. Z tych znowu poszczególnych sprawozdań dowiadujemy się, że w niektórych wsiach, np. koło Brzozowa w Golcowej, młodzi gospodarze chcieliby stósować się do rad gospodarskich podawanych w pismach i książeczkach, ale starsi na to nie pozwalają. Rozumie się, że tego pochwalić nie można, bo choć oni starsi, to nie koniecznie mogą być mądrzejsi od tych, co książki piszą. W powiecie brzeskim, szczególnie w Zakliczynie i w Złotej, czytają nader chętnie i ciągle pytają o nowe dziełka; podobnie dzieje się i pow. chrzanowskim. Z Jarosławskiego, z Kolbuszowy, z Gorlic i Grybowa donoszą, że nie lubią tam czytać książek treści gospodarczej, natomiast w Rzepienniku ruskim proszą o takie książki, a młodzi gospodarze wiele z nich korzystają. Wpływ czytelni jest w tych stronach ogromny; mało tam

juz pijaków, oszczędność coraz większa i każdy posyła chętnie dzieci do szkoły. W Ptaszkowej koło Grybowa lud ulepsza gospodarstwo, nie daje się oszukiwać i jest moralniejszy. Koło Krosna czytelnie rozwijają się pomyślnie, czytają więcej młodzi a starsi słuchają chętnie czytania i korzystają z niego. W Łańcuckiem chęć czytania wielka, ale niestety tamtejsi włościanie wolą więcej politykę, niż pożyteczne naukowe pisma ludowe. Koło Mielca podnosi się pod wpływem czytelni gospodarstwo, a schludność domów i oszczędność jest nader wyraźną. Z Rabki donoszą, że włościanie uprawiają rolę według rad z książeczek czerpanych, że nabrali chęci do chodowania pszczół, że obsadzają miedze śliwami. W Nowym Sączu zmiejszyła się liczba więźniów przez czytanie dobrych pism i książek. W Sanockiem i Ropczyckiem ruch pomiędzy czytającymi osłabł, dlaczego? niewiadomo. W powiecie tarnowskim okazuje tamtejsza ludność coraz większe zamiłowanie do czytania; wieśniacy gromadzą się nietylko w czytelniach alo i w domach, by słuchać czytających. Skutek tego jest ten, że lud staje się mniej szorstki, w słowach delikatniejszy, dba więcej o czystość koło siebie, o ochędostwo w domu. Koło Wieliczki liczba czytelni jest największa, to też znika tam pijaństwo, coraz mniej bijatyk i procesów.

W powiecie tarnobrzeskim starsi unikają nauki i w gorzałce widzą wszystkie rozkosze, za to młodzi, którzy nie gardzą czytelnią ubierają się schludniej, mówią dobrze po polsku, pozbywają się gburowatości i uprawiają staranniej pola. W Wadowickiem zmienił się w niektórych wsiach lud do niepoznania. Czytelnicy tamtejsi są gospodarniejsi, oszczędniejsi, grzeczniejsi, porzucają pijaństwo a biorą się do pracy z większą wytrwałością.

Z tych kilku wzmianek, które nie obejmują ani połowy powiatów, gdzie istnieją czytelnie, możecie mieć kochani Czytelnicy pojęcie, jak pożyteczne są czytelnie i jak do nich wieśniacy garnąć się powinni; gdzie zaś jeszcze nie ma czytelni, tam powinni się o nią postarać, wnosząc prośbę do Towarzystwa oświaty w Krakowie.

Listy Unitów
z wygnania.

(Ciąg dalszy).

List z dnia 2 marca 1890.

(Z gubernii orenburskiej).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. W roku 1875 byłem zesłany za religią do chersońskiej gubernii, a w roku 1888 zabrano

moją czeladkę i wywieziono w orenburgską gubernię, a mnie przywieziono na dwa tygodnie pózniej do tejże wsi... i jest nas tu razem...

Najprzód dał nam starosta kwaterę, ale po dwu tygodniach wygnał nas gospodarz z tej kwatery. I zeszła się sielska gromada, najęli nam kwaterę do Wielkiejnocy. Kwatera ta była bardzo niewygodna, bo przez całą zimę stały w chacie świnie, cielęta i owce, od czego niemałośmy ucierpieli i zaduchu i chłodu, bo mrozy były do 50 stopni, a okna tak zamrożone, że nieznać kiedy dzień, a kiedy noc. I tak przeżyliśmy zimę, a po Wielkanocy wyrzucił gospodarz nasze rzeczy i nas wygnał. My, zabrawszy swoje rzeczy na ramiona, poszliśmy do kancelaryi kilkanaście wiorst i powiedzieliśmy staroście, żeby nam dał kwaterę, a on kazał iść do stanowego. Najęliśmy więc furmarnkę pod rzeczy i poszliśmy jeszcze wiorst kilkadziesiąt do stanowego. Gdyśmy tam przybyli, pokładliśmy swoje rzeczy na ulicy pod domem i siedzieli całą dobę. Stanowy spytał, czegoś tu przyszedł, czemu nie żyjecie tam, gdzie was postawiono? My odpowiedzieli, że nas wyrzucili z domu. Na to on odpowiedźiał: ja ciebie odprawię do zamku! Ale moja czeladź zawołała: odprawcie nas wszystkich, a nie jednego. Na czwarty dzień odprawił nas wszystkich z powrotem do tej samej wsi i na tę samą kwaterę, gdzieśmy byli poprzednio. Ale w przeciągu trzech tygodni gospodarz powtórnie nas wyrzucił i tak żyliśmy trzy miesiące na ogrodzie aż drugi gospodarz, widząc nasze nędzne życie, ulitował się nad nami i przyjął nas do siebie na kwaterę.

W miesiącu listopadzie r. 1889 zabrali nas i zawieźli do kancelaryi razem z... po karmowe pieniądze i tak samo z nami jak z nimi postąpili. Z kancelaryi znów nas odwieźli do tego samego gospodarza i dwa tygodnie siedzieliśmy u niego spokojnie, ale potem zaczął nas wyganiać. Więc dla tak strasznej zimy musieliśmy za ostatni grosz nająć sobie kwaterę do Wielkiejnocy. Dnia 28 lutego przybyliśmy do swoich braci... gdzie mieliśmy wielką radość, raz, że nas tu się zeszło razem cztery familie, cośmy się dawno nie widzieli, a po drugie: oni otrzymali od Waszej Wielebności list tak dla nas pocieszający, że o nas Pan Bóg nie zapomina i przez pobożnych chrześcian katolików raczył zesłać nam pomoc w naszem nędznem życiu, co z waszego listu i nam udzielono. Za co serdecznie dziękujemy Opatrzności Boskiej i Waszej Wielebności, oraz wszystkim gorliwym chrześcianom katolikom, Panom i Paniom i życzym Wam od Boga szczęścia i zdrowia za ofiarę waszę na wieczne czasy.

List z dnia 2 marca 1890.

List pozostających na wygnaniu w orenburskiej gubernii, ze wsi i parafii..... familii..... składającej się z..... dusz.

Po wygnaniu nas z naszego rodnego kraju, żyjem we wsi....., to choć w krótkości żywot nasz opiszę.

Oto w miesiącu listopadzie zebrali nas do kancelaryi i dawali nibyto karmowe. Tak nam odczytał: macie karmowe od pierwszego maja do pierwszego sierpnia, po pięć kopiejek, ale dajcie każdy od siebie podpiskę. Na to my nie przystali, bo była jakaś zdrada. Ale z kancelaryi my wychodzić nie chcieli dla tego, że nam kwater nie dają. Powiedział nam Starszyna: idźcie sobie, ale my mu powiedzieli, że nie pójdziem, bo nie mamy żadnego przytułku, a tu sztraszna zima. On się rozzłościł i nakazał, żeby wiejska władza nas wygnała. I tak policya schodziła się dwa razy z kijami i nas wyganiali, ale sami nie mogli wziąść przewagi nad nami, aż za trzecim razem Starszyna przybył z policyą ze wsi z kijami i wtenczas zaczęli nas mordować i wypędzać. Trudno było dać opór naprzeciw takiej sile, bo najprzód powyrzucali nasze odzienie a potem wzięli się do nas. Więc my zaczęli się prosić i płakać, bo myśleliśmy, że się nad nami ulitują, ale to nic nie pomogło, bo nie takie tutaj strony żeby się kto ulitował. I tak w jednych koszulach nas wyrzucili na ulicę, na mróz i sami postawali nad nami, naśmiewając się i szydząc z nas. Sami nie wiedząc, gdzie się podziać, prosiliśmy Starszyny, żeby nam dał gdzie przezimować, ale na to on nam odpowiedział, że mu Naczalstwo pisze, żeby nam kwatery nie dawał; sami się starajcie. Nie było innej rady, bo do gubernii dojść było trudno z powodu strasznej zimy, więc znudzeni takiem utrapieniem, musieliśmy za ostatni grosz nająć kwaterę i tak żyjemy, choć bardzo wiele cierpim niewygód, bo kwatera bardzo mała, nieczysta i zimna, a rodzice nasi bardzo już są w podeszłym wieku bo mają blisko po siedmdziesiąt lat.

Dopiero gdy trochę zimno zelżało, umyśliliśmy odwiedzić naszych Braci..... Jakaż to była niewypowiedziana radość, bo nas się zebrało ze czterech familii i trafiliśmy na ten czas, co oni odebrali list od Waszej Wielebności, z którego my się bardzo ucieszyli się i na każdą duszę dostali..... Za co składamy dzięki nieprzebranemu miłosierdziu Boskiemu i Waszej Wielebności, jako też wszystkim katolikom i czcicielom Serca Jezusowego. Niech wszystkich wyznawców Kościoła rzymsko-katolickiego ma w swojej opiece Niepokalanie Poczęta Najświętsza Marya Panna.

List z dnia 2 marca 1890.

List wygnańców z gubernii Siedleckiej, powiatu..... parafii..... ze wsi..... pozostających teraz w orenburskiej gubernii, wsi.....

Gdy nas przywieziono do wyżej pisanej wsi, dali nam miejsce w kancelaryi, ale w przeciągu niejakiego czasu kazali nam najmować kwaterę, aleśmy się na to nie zgodzili i do tego czasu pozostajemy na tej samej kwaterze, dwie familie.

W roku 1888 nie dali nam spokoju, tylko nas męczyli, bo nam nie dali drzewa palić w piecu, żeby choć ugotować dla małych dziatek co do zjedzenia, to nie dali, tylko zaraz ogień zalewają. Tośmy cierpieli srogie udręczenie, bo nie było gdzie ugotować strawy, tak, że po trzy tygodnie gotowanego nic my nie jedli. Mrozy były na 50 stopni, to też w r. 1888 umarła moja bratanica z tego udręczenia. Co do pochowania nieboszczycy nikt nam nie przeszkadzał i my sami ją pochowali, jak tylko mogli, a prawosławne popy nie przystąpiły do nas, bo nie mieli prawa. Miłosierdzie boskie broniło nas, że nam w niczem nie szkodziły moskiewskie sidła..... i my sami z wielkim żalem oblewaliśmy łzami nasz smutek i nasze biedne życie.

Ale spokoju nieprzyjaciel nam nie daje i koniecznie z kancelaryi nam się kazali wynosić, aż 20 czerwca 1890 r. ustawili sikawkę w okno o godzinie dziewiątej w nocy i zlali nas wodą tak, że mało nasze dziatki nie pomarły ze strachu, bo nie było suchej nitki na nas. O mój Boże, co za srogość nieprzyjacielska tak męczyć nieszczęśliwych wygnańców. Pierwszego września 1889 r. przyszli do nas Uriadnik i wójt z wielu ludźmi i wyrzucili nas na środek ulicy i nie dali nam izby, *więc my się marnowali pod gołem niebem, a że były wiatry i deszcze*, to dzieci i stare kobiety ledwie nie pomarły, bo w tym miesiącu bywa w tych stronach już chłodno. Poszliśmy tedy do gubernii, ale że starzy i dzieci mało nam w drodze nie pomarzły, więc zostawiliśmy ich w drodze, a my mężczyzni poszliśmy do gubernatora w Orenburgu. Zaszliśmy do niego i mówimy, żeby nas tak nie dręczyli. Co chcesz, to z nami rób, ale my domów najmować tutaj w waszych stronach nie będziemy; puszczaj nas do naszej własnej ziemi, bo my tu nie przyszli po ochocie. A gubernator nam odpowiedział: idźcie do tej wsi, gdzieście byli, a ja rozporządzę żeby wam dali kwaterę. Więc my wrócili do swojej czeladki, którąśmy zostawili po drodze i wrócili do wsi, a gubernator przysłał rozkaz, żeby nam dali kwaterę we włości. Mamy więc kwaterę, ale nie ma żadnej wygody, tylko tyle, że nie jesteśmy na dworze, bo ciepła nie ma i cierpim wielkie mrozy tak, że woda nam marznie, a dzieci mało nie pomarzną, a nasz oiciec, który był lat 19 wygnany w Chersońskiej gubernii,

a jak nas z domu wywieźli, to i jego tutaj przywieźli, ma już lat 70 i od zimna już nie ma zdrowia.

Za przysłane..... Waszej Wielebności serdecznie dziękujem, bo i nasza familia dostała. Ja przybył do... na ten sam dzień, w którym oni otrzymali list, a także przybyły dwie inne rodziny, to nas było cztery familie przy odebraniu tego listu. Tośmy się bardzo uradowali i dziękujem Panu Bogu, że nas nie opuszcza i dodaje pomocy przez pobożnych chrześcian-katolików, którzy o nas nie zapominają. Dziękujem Waszej Wielebności za troskliwą pamięć, oraz wszystkim gorliwym chrześcianom katolikom, Panom i Paniom dziękujem, za Waszą jałmużnę: niech Wam Pan Bóg wynagrodzi w szczęściu i zdrowiu i wszelkiej pomyślności.

Jeszcze muszę nadmienić, żem otrzymał list od żony z Królestwa Polskiego, to piszą mi, że bardzo mordują ludzi i przymuszają, żeby świętowali ruskie święta, a po drugie tych, którzy śluby brali w Krakowie, to ich rozganiają i do haresztu zabierają i pieniężną karę nakładają, po 20 rubli i więcej. I małe dzieci też męczą, żeby chrzest przyjmowały u popów i karzą po kilka rubli. To niech Bóg broni, co ten nieprzyjaciel wyrabia i mówi, że będzie wywoził na Afońską górę.(?)

Tak mi pisze żona, bo my jesteśmy rozłączeni, jak para ptaków z gniazda jednego, bo mnie wzięli, a żona i synaczek, to pozostają w siedleckiej gubernii, opuszczone sieroty. Ale więcej takich jest tutaj rozłączonych, bo też i żony pozabierał z dziećmi, a mężowie zostali w siedleckiej gubernii. Niektóry mąż chciał sobie zatrzymać choć jedno dziecko, to nie dali tylko wyrwali z rąk i zabrali z matką na wygnanie a ojca zostawili bez żony i bez dziatek.

O jakież to było żałosne nasze rozłączenie i płacz rzewny, rozstawać się ze swojemi żonami i dziatkami! Tośmy byli jak pomarli z tego smutku i żalu! O, Matko Boska Częstochowska! wejrzyj na nas nieszczęsnych wygnańców, cośmy oddaleni w tak dalekie strony, mąż od żony i od dzieci, a żona od męża z malutkiemi dziatkami. Bo tym kobietom, które tu są bez mężów z maleńkiemi dziećmi, to jest wielka bieda w cudzej stronie, bo takie dzieci były, co miały po pół roku. Więc srogie prześladowanie cierpiały, bo nie miał nieprzyjaciel litości ani nad małemi, ani nad staremi, tylko męczył srogo i męczył bez litości, do tej pory, a nie folguje. I na tych słowach kończę mój list. Upadam do nóg Waszej Wielebności i Panom i Paniom i proszę wybaczyć, że niewyraźnie piszę, bo jesteśmy ludzie prości, nieuczeni, tylko samouki.

Narodowość Górnoszlązaków [1].

Sprawa narodowości Górnoszlązaków zajmowała do niedawna wszystkie prawie szlązkie gazety niemieckie. Gazety te ubiegają się o to, aby dowieść iż Górnoszlązacy nie są Polakami, lecz jakimś tam osobnym lub odrębnym narodem, mówiącym tylko po polsku. Ile w takiem twierdzeniu jest niedorzeczności, łatwo zrozumieć, boć przecież kto mówi po niemiecku jako językiem ojczystym, ten jest Niemcem, kto mówi po francusku, ten jest Francuzem. a zatem kto mówi po polsku, ten jest Polakiem Wszakże to jest jasne jak na dłoni, a jednak jeden z szląskich posłów (pan hrabia Ballestrem, poseł do parlamentu na okręg Opolski) zaprzeczył temu również jak niemieckie gazety, napisawszy do „*Schlesische Volkszeitung*“ że jego zdaniem nie ma tu żadnych „górnoszlązaków Polaków“, lecz są tylko „po polsku mówiący Górnoszlązacy, którzy są Prusakami i poddanymi niemieckiego państwa“. Na te słowa dał p. hrabiemu jeden z polskich księży górnoszląskich następującą odpowiedź, którą umieściły gazety polskie na Szląsku. Odpowiedź ta brzmi:

„Nie zgadzam się żadną miarą z wywodami posła okręgu Opolskiego, pana hrabiego Ballestrema, jakoby nie istnieli „górnoszlązcy Polacy“, jak on powiada w „*Schles. Volkszeitung*“, tylko „po polsku mówiący Górnoszlązacy, którzy są prusakami, należącymi do Państwa niemieckiego“.

Prawdą jest, że jesteśmy poddanymi pruskimi i nie myślimy o tem, aby niemi nie być, aleć to nie przeszkadza, żebyśmy byli także „górnoszlązkimi Polakami“.

Czem to właściwie mielibyśmy być? Wszak nie jesteśmy Niemcami, ani też kosmopolitami. (Kosmopolita znaczy, krótko mówiąc, tyle, co obywatel całego świata) Jak do Austryi różne należą szczepy: Czesi, Polacy, Chorwaci itd., a przez to, że należą do Austryi nie przestaną być Czechami, Polakami, Chorwatami itd., tak samo i my Górnoszlązacy jesteśmy szczepem odrębnem, a to szczepem polskim, nasz język, nasze obyczaje różnią nas od szczepu niemieckiego Jaśnie Wielmożny panie pośle, możesz więc nas nazywać Polakami, bo nie tylko poddanymi pruskimi, ale i Polakami jesteśmy, nie lękaj się, żebyś nas tak nazywając, obraził, bo to nasz zaszczyt to nasza chwała. Pomimo to nie ma obawy, abyśmy czując się Polakami mogli nie być dobrymi poddanymi, albo nie chcieć się uczyć po niemiecku. Przeciwnie ja sam pragnę, aby dzieci ludu naszego nauczyły się języka niemieckiego, bo go w życiu potocznem potrzebują, ale przedewszystkiem gorąco życzę sobie, a ze mną lud górnoszląski, żeby dzieci uczono po polsku, bo bez tego drogiego nam języka ojczystego w innej mowie wykształcić się nie można. Cała też tak zwana „agitacya wielkopolską“ zasadza się na tem, iż gazety polsko-katolickie i ludzie dobrej woli dążą do zachowania ludowi języka ojczystego i utwierdzenia w nim miłości do wszystkiego, co ojczyste. Czyż w tem jaka zbrodnia? Nie! ale zasługa, albowiem gdy lud zacznie gardzić mową i zwyczajami ojczystymi. czyż można od niego spodziewać się, że będzie szanował obce!? Innej agitacyi ja nie znam! nie-

---

[1]) Górnoszlązakami nazywają się Polacy zamieszkali na Szląsku górnym, będącym pod panowaniem pruskiem, dawniejszymi czasy Szląsk należał do Polski

spostrzegłem jej też ani w „*Gazecie Opolskiej*“, której jestem wiernym czytelnikiem, ani w „*Katoliku*“.

Tak pisze górnoszlązki kapłan, i bardzo słusznie! Gdyby kto inny to napisał, powiedzianoby może, że to „wielkopolski agitator“, a kto wie, może i tak powiedzą.



Śp. Ksiądz Biskup Franciszek Śniegoń
ur. 2 paźdz. 1809, zmarł 3 lipca 1891. (Życiorys patrz Nr. 14).

Rodzice a dzieci.

Zdaje się istotnie, że sama pamięć na dobrodziejstwa, których dzieci, od rodziców tak długo doznawały, powinna je do największej pociągać wdzięczności. A jednakże tak nie jest i często, oj bardzo często niestety,

inaczej się zdarza, jak to sami wiecie z niejednego przykładu. Zdaje się też, że kiedy rodzice kilkoro dzieci wyżywią i wychowają, to kilkoro dzieci później tem łatwiej jednego ojca lub matkę w wygodach na starość utrzymaćby mogło. A jednakże i tak nie jest! Przypomina mi się tu owa gadka o sikorce, którą gdzieś w świecie słyszałem, a która jest taka:

Sikoreczka ptaszek mały,
Żywi dzieci mędel cały;
Lecz ten dzieci mędel cały,
Nie wyżywi matki małej.

Co się tyczy sikorki, to się temu i nie dziwić, bo między zwierzętami nie ma podobno wdzięczności dla rodziców, nawet dzieci później rodziców nie znają. Ale też zwierzęta rozumu, a przedewszystkiem duszy nieśmiertelnej, sumienia i Boskich przykazań nie mają. Zresztą żadne zwierzę tak długo dobrodziejstw od rodziców nie doznaje, jak człowiek. Tę gadkę o sikorce właściwie też do ludzi wystósowano i w tem rozumieniu dopiero ona coś znaczy. Tu mi się przypomina podobny przykład o jednym ojcu, który opowiem.

Mieszczanin pewien, kuśnierz z profesyi, miał sześcioro dzieci: trzech synów i trzy córki. Pracowity i oszczędny zabrał sobie przy Boskiej pomocy ładny mająteczek i ten między dzieci po śmierci żony rozdzielił, tak, że każde dostało grosza sporo. Najstarszy syn kuśnierstwo po ojcu objął i u niego stary mieszkał. Jednakże znać sprzykrzył się ojciec synowi, bo razu jednego tak mu powiedział:

— Ojcze kochany! toć wiecie, że mi Pan Bóg dał syna i teraz ciasno tu u mnie będzie, a wam też kolebka ciągleby dudniała. Więc lepiejby wam było u brata mego Józefa. On dzieci nie ma, a mieszkanie ma obszerne, toby wam tam było najwygodniej.

— Prawdę mówisz moje dziecko, powiedział stary, wnuka ucałował w kolebce, pożegnał na błogosławieństwo i wyprowadził się do Józefa.

Ten był kowalem. Choć było mieszkanie bardzo obszerne i dla starego miejsca dosyć, to i Józef znowu znalazł przyczynę i powiedział do starego tak:

— Ojcze kochany, ciągle was głowa boli, boście wy do tego kucia i hałasu kowalskiego nie zwyczajni. Tu u mnie nie może być inaczej, boć kuźnia jeno przez sień. Najlepiej by wam było u brata mego Michała. On piekarz, to i ciepło u niego zawsze i hałasu nie ma i wygody więcej dać wam może.

— Prawdę mówisz, moje dziecko, powiedział stary i do syna piekarza się przeprowadził.

Było to tam, było czas jakiś, ale niezadługo to i piekarz znalazł dla starego przyczynę i tak mu powiedział:

— Ojcze kochany, nie wiem jakby wam już najlepiej zrobić, ale tu u mnie to nocy spokojnej mieć nie będziecie i nie możecie. Tu u mnie w nocy największa robota, latanie, trzaskanie i hałasy, z rana lud się roi, jak pszczoły, cały dzień, jeden wchodzi, drugi wychodzi, że to jakby w gołębniku jakim. A gdzież wy przy takich przeszkodach możecie się wywczasować, jakby wam tego na starość potrzeba! Najlepiejby wam było u mojej siostry Nepomuceny.

Stary pomiarkował, sierota, że i tu już własnemu dziecku się sprzykrzył i jakoś mu się przypominać poczynała owa gadka o siekorce, ale sobie pomyślał, że u córki będzie inaczej, boć to kobiety i serce niby mają lepsze i jakoś składniejsze są do pielęgnowania.

Wyprowadził się więc do córki Nepomuceny, która miała męża kołodziejem. Byli mu tam radzi, jak wszędzie z początku, szkoda tylko, że nie na długo. Córka bowiem tak do niego po niejakimś czasie powiedziała:

— Ojcze kochany! ja jeszcze kiedy śmierć będę miała ze strachu. U nas na dole warsztat, a mieszkamy u góry, więc wy też na stare lata po wschodach musicie się drapać, a to już nie na wsze siły. Nogi wam się trzęsą, a ja drżę cała ile razy widzę zchodzącego lub wchodzącego na te wysokie wschody. Toć wam najlepiej będzie u siostry mojej Barbary. Mieszka ona na wsi, ma izb kilka, ogród przy domu, będziecie się mieli czem rozerwać.

Staremu przeszło jak nóż przez serce, ale powiedziawszy po swojemu:

— Prawdę mówisz moje dziecko, i wyprowadził się do córki Barbary na wieś. Tam mu też było istotnie dobrze, tylko szkoda, że nie na długo. Barbara bowiem, kiedy zima nadeszła, a stary kaszleć począł, z taką się odezwała radą:

— Ojcze kochany, wam potrzeba być blisko doktora i apteki. Ciągle kwękacie, a tu na wsi rada trudna i mogłoby, czego Boże broń, siedm razy być nieszczęście, niżby doktor i leki z miasta przyszły. Wy też radzibyście co dzień byli w kościele, a gdzież to tu ze wsi o granicę wam podobno. Więc tak sobie myślę, że najlepiej abyście byli u mojej siostry Łucysi, boć i w mieście i przy samym kościele mieszka.

Stary kochał bardzo Łucysię, jako najmłodszą, więc mu się nawet zdawało, że tam będzie najlepiej i że znajdzie u niej pomieszkanie na zawsze. Powiedziawszy swoje:

— Prawdę mówisz moje dziecko, przeprowadził się więc do Łucysi, która była za stolarzem.

Kiedy tam już czas niejakiś pobył i tak jakoś coraz bardziej ku kupeczce i kącikowi rzeczy jego posuwano, aż mu i ciasno zdawać się poczęło, powiedział razu jednego synek Łucysi do niego tak:

— Dziadku, wczoraj mówiła mama do ciotki Nepomuceny, że wam najlepiejby było w takiem mieszkaniu, jakie tatko mój robi, jak oto tam przed domem, i pokazał na stojącą przed domem — trumnę! Tego już staruszek znieść nie mógł, gorzko i gwałtownie sobie zapłakał, aż mu serce pękło z boleści na własne dzieci.

Czwartego dnia leżał już w owem najlepszem dla niego pomieszkaniu, które mu zięć stolarz zrobił i dopiero z tego już go nie wypędzono.

— Nie wiem, co sobie dzieci jego pomyślały, stojąc nad grobem, że im kiedyś takie mieszkanie przypadnie, które jednakże sprawy nie kończy, gdyż po za niem dopiero przyjdzie rachunek przed najstraszniejszym sądem ze wszystkich przykazań i z czwartego także które mówi:

„Czcij ojca twego i matkę twoją!“

Sprawy krajowe.

Fundusz pożyczkowy dla Kółek rolniczych.

W ubiegłej sesyi uchwalił Sejm krajowy ustanowić fundusz pożyczkowy dla Kółek rolniczych w wysokości 15000 złr., a pierwszą ratę na ten fundusz w kwocie 5000 złr. wstawiono już do budżetu na rok 1891.

Fundusz ten ma służyć na pożyczki dla Kółek rolniczych, aby mogły zakładać lub rozszerzać swoje sklepiki. Główny zarząd Towarzystwa Kółek rolniczych wezwany przez Wydział krajowy do dania swojej opinii co do sposobu użycia tych funduszów, przedłożył następujący projekt:

Z funduszu pożyczkowego dla Kółek rolniczych przeznaczonego na popieranie ich działalności handlowej i przemysłowej mogą korzystać:

a) Zarządy powiatowe Kółek rolniczych na składy towarów dla sklepików Kółek rolniczych.

b) Spółki zjednoczonych Kółek rolniczych utworzone celem urządzenia składów towarów dla sklepików Kółek rolniczych.

c) Zarządy pojedyńczych Kółek rolniczych prowadzące lub pragnące założyć sklepiki w gminach na rachunek Kółek.

Pożyczki udzielane będą przez Wydział krajowy na wniosek Zarządu Towarzystwa Kółek rolniczych, a to w wysokości 600 złr., dla

pojedyńczych zaś sklepików 300 złr. W wyjątkowych godnych uwzględnienia wypadkach kwoty te mogą być podwyższone.

Pożyczki wydawane będą na skrypt dłużny, legalizowany przez Sąd lub notaryusza, za poręką dwóch osób posiadających odpowiedni majątek.

Spłata pożyczonego kapitału uiszczaną będzie w ratach, do jakich się pożyczające Kółko zobowiąże, a w każdym razie musi być pożyczka spłacona w 4 latach.

Formularz skryptu dłużnego wygotowany będzie przez Wydział krajowy i będzie zawierał warunki, że Kółko biorące pożyczkę zaprowadzi u siebie porządną rachunkowość kupiecką, że poddaje się kontroli Wydziału krajowego co do przedsiębiorstwa i rachunkowości, że ma towary swoje ubezpieczyć od ognia, że przedkładać ma co roku Wydziałowi krajowemu dokładny inwentarz i stan majątku przedsiębiorstwa i że niedopełnienie warunków pociąga za sobą możność żądania przez Wydział krajowy zwrotu całej pożyczki od razu.

Projekt będzie przedmiotem obrad komisyi dla spraw rolniczych, a dopiero na podstawie opinii wydanej przez tę komisyę, Wydział krajowy ostateczne poweźmie postanowienia w tej mierze, o czem w swoim czasie Czytelników naszych zawiadomimy.

Przegląd polityczny.

Monarchia austryacko-węgierska.

Z Rady państwa i Koła polskiego w Wiedniu.

Rada państwa została po uchwaleniu budżetu z d. 18. lipca do jesieni odroczoną. Przy rozprawach nad budżetem ministerstwa rolnictwa przemawiał poseł Kozłowski za obmyśleniem sposobów, aby podnieść stan włościański, który stanowi przeszło połowę ludności Monarchii; poseł Czecz stawiał żądania, w sprawie postępowania przy zarazach bydlęcych. Przy rozprawie zaś nad budżetem ministerstwa sprawiedliwości kilku posłów żądało zmiany postępowania sądowego; przemawiali mianowicie pp. Podlaszecki i Abrahamowicz, którzy jako sędziowie z zawodu z praktyki swojej wykazali różne niedostatki pod tym względem. Przemawiał dalej p. hrabia Piniński i p. Potoczek. P. Potoczkowi musimy oddać pochwałę, że choć nie włada językiem niemieckim bardzo dobrze, głos zabrał i jak umiał, tak bronił sprawy ważnej dla ludu wiejskiego.

Zaznaczyć jeszcze musimy piękne przemówienie księdza Chotkowskiego, który domagał się lepszego święcenia niedzieli jak dotąd

Rada Państwa zbierze się na nowo w jesieni.

Galicya. Spór z Węgrami o Morskie Oko jeszcze nie zakończony. Ministerstwo węgierskie zarządziło jednak, aby nadal nie budowano drogi na miejscu spornem i żandarmi węgierscy aby nie przeszkadzali w komunikacyi.

Ustawa drogowa jeszcze zminioną tego roku nie będzie; Wydział krajowy jeszcze nie zebrał potrzebnych wiadomości, aby już tego roku mógł ustawę nową przedłożyć Sejmowi.

Za krajowy podatek od piwa i słodzonych trunków uzyskał Wydział krajowy od dzierżawców blisko trzysta pięćdziesiąt tysięcy.

Niemcy. Cesarz niemiecki był ze swoją żoną w Angli Anglicy przyjęli ich bardzo wspaniale, i to tłumaczą w ten sposób, że i Anglia trzyma razem z potrójnem przymierzem t. j. z Niemcami, Austryą i Włochami.

Rosya. Rozchodzi się pogłoska, że Rosya ma zawrzeć przymierze z Francyą. Flota (okręty wojenne) przybyły do Rosyi i przygotowano tam dla nich wspaniałe przyjęcie.

— Żydzi wciąż opuszczają Rosyę, jedni udają się do Palestyny, inni do Ameryki.

Bułgarya. Przeciw ministrowi bułgarskiemu Stambułowowi wciąż knują spiski. Niedawno na nagrobku zabitego ministra Bełczowa znaleziono napis: Chcieliśmy zabić Stambułowa, a trafiliśmy ciebie. Drugi raz lepiej mierzyć będziemy.

Francya. We Francyi utworzyło się nowe stronnictwo katolickie, które chce walczyć o to, aby do szkoły wprowadzono nąpowrót naukę religii i nie uciskano Kościoła.

Serbia. Młody król serbski Aleksander wybrał się już w odwiedziny do cara rosyjskiego; z powrotem odwiedzi naszego Monarchę.

Wiadomości bieżące

z kraju i z zagranicy.

Galicya i Bukowina.

Burze, pioruny, pożary i grady nawiedzają tego lata dość często różne części naszego kraju. W miasteczku Dąbrowa wybuchł 4. lipca w nocy pożar, ale na szczęście wnet go ugaszowo i spalił się tylko jeden dom. — W okolicy Leszniowa w powiecie brodzkim była straszna burza z deszczem. W Leszniowie wpadł piorun do chałupy i zabił śpiącego w niej chłopaka. — Koło Turki za Chyrowem oberwała się chmura i zalała kilka wsi, przyczem utonęło kilkanaście ludzi. — Przez Kraków i jego okolice przeciągała 18. lipca tak straszna burza z piorunami, jakiej tam dawno nie pamiętają. We wsi Olsza uderzył piorun w chatę włościańską, która w okamgnieniu stanęła w płomieniach i spaliła się. Kobieta która była w chacie, gdy piorun uderzył, szczęśliwie ocalała. — Podobna groźna burza przeciągała nad Czerniowcami na Bukowienie. W czasie tej burzy piorun uderzył w dach cerkwi koło Czerniowiec, i uszkodził nieco świątynię. — W Kielnarowej pod Rzeszowem uderzył piorun w chatę włościanina — wzniecił pożar i zniszczył całe zabudowanie wraz z dwoma krowami; — w Lutoryżu spalił się skutkiem piorunu jeden dom. — Gradem i wylewami dotkliwie nawiedzone zostały gminy powiatu Jasielskiego: Sadki, Łężyny, Trzcinnica, Przysieki, Harklowa, Siedliska koło Sławencina, Świerzchowa, Osobnica, Jabłonica, Łubno opace,

Cieklin, Glinik górny, Bączal dolny Bączal górny, Czermna, Święcany, Łubienko, Pagórek, Dzielec, Sławencin, Glinik dolny, Nienaszów, Opacie, Lipnica dolna, Skalnik, Toki, Dobrynia, Lipnica górna, Wola dembowiecka, Skołyszyn, Glinik średni i Pusta wola — Wieś Łąkę, koło Sambora nawiedziła 13. lipca straszna powódź. Spadł tam taki ulewny deszcz, że cała wieś i pola wyglądały jakby wielkie jezioro. Wszystkie plony woda zniszczyła a lud załamuje ręce na widok tego zniszczenia. Takiemi to klęskami podobało się P. Bogu nawiedzić nasz kraj. Wielkie to wprawdzie i bardzo wielkie nieszczęście, ale mimo to ci, których ta klęska spotkała nie powinni szemrać przeciw Bogu, bo niezbadane są wyroki Boże.

Wściekły pies pokąsał we Lwowie kilka osób. Rany wypalił im lekarz żelazem.

Ze Złoczowa donoszą, iż tam 13 czerwca pojawił się także pies wściekły i przez dwa dni swobodnie biegał kąsając inne psy i zwierzęta. Wpadł też do domu w Remizowcach, pokąsał 10 letniego syna państwa Mazewskich i kilka innych osób. Ojciec owego chłopca wyjechał z nim do Rumunii, do Bukaresztu, gdzie jest szpital, w którym leczą ludzi pokąsanych przez psy wściekłe. Ale reszta biednych ludzi, nie posiadających na taką podróż funduszów, będzie musiała pozostać w domu i zginąć w boleściach. Godziłoby się, aby w naszym kraju był taki szpital, ale o tem jakoś nikt nie pomyśli. Na wysyłanie różnych panien za granicę, by się uczyły śpiewu, na teatra, to kraj ma pieniądze, ale na taki szpital to nie ma. Może kto na najbliższej sessyi sejmowej poruszy tę sprawę. Zrobiłby nie małą przysługę społeczeństwu a przedewszystkim takim nieszczęśliwym.

Utopił się w Wybranówce koło Bóbrki gospodarz Wasyi Korol z Chlebowic wielkich. Chciał on wykąpać w rzece swe konie i wjechał z nimi do potoku, który płynie pod Wybranówką. Nieszczęściem jednak wjechał w jakąś przepaść, w której z końmi utonął.

Nową fabrykę garbarską otwarto uroczyście w Rzeszowie dnia 2 lipca.

Zarozumiałość naszych żydków *Gazeta Przemyska* donosi, że kilkanaście dni temu szło w Przemyślu traktem węgierskim kilkunastu pejsatych wyrostków żydowskich uszykowanych parami i śpiewało sobie następującą piosenkę: „*Raz dwa trzy... katolicy psy, żydki monarchy, katolicy parchy!*“ Tak to szanują nasi żydzi katolików, których chlebem się karmią.

Zawiódł się. Do biura policyi we Lwowie przyszedł niedawno temu żyd z ogromnym krzykiem: „gewałt“ i ze skargą że na jednej ulicy rzucił ktoś na niego z okna kamieniem, no, i że go... zabił. Spodziewał się przemyślny żydek, że zaraz zrobi na tem interes i dostanie pieniędzy za otrzymaną ranę, której nie miał. Policya zbadała rzecz całą i pokazało się, że ów kamień, który rzucono z okna na żyda był zwykłą malutką kostką, którą jakieś dziecko wyrzuciło przez okno. W obec tego żydowi nie przyznano żadnego odszkodowania za ból i geszeft się nie udał.

Kolej Karola Ludwika, przechodzi jakeśmy to już donosili, na własność rządu, począwszy od 1 stycznia 1892 r. Gazety domagają się, aby teraz, skoro już wszystkie galicyjskie koleje będą rządowemi, zaprowadzono w urzędach kolejowych język polski, aby zniżono opłatę od przewozu towarów, i aby utworzono we Lwowie główną Dyrekcyę, a w Krakowie, Przemyślu i Czerniowcach

mniejsze dyrekcye czyli filie, podlegające dyrekcyi lwowskiej.

W Rzeszowie wydarzył się 6 lipca nieszczęśliwy wypadek. W barakach wojskowych na Błoniach odbywały się w stancyi ćwiczenia wojskowe i strzelano ślepymi nabojami. Jeden zaś żołnierz, podobnoś przez pomyłkę, wziął nabój ostry i gdy wystrzelił z karabinu, kula przeszyła ścianę wpadła do kuchni i zabiła tam żołnierza Banasiaka.

Odznaczenia. Książę Adam Sapiecha otrzymał od Ojca św. order, podobnież odznaczony został i pan Korytowski z Płotycz.

Morderstwo. W nocy 5 lipca zamordowano w Majdanie sieniawskim 60 letnią kobietę Reginę Pokrzywkę. Żandarmi wykryli, że tego morderstwa dopuściło się dwóch rosyjskich żołnierzy stojących w bliskości na granicy. Zemścili się oni na tej kobiecie za to, że ją raz okradli i potem byli za to karani. Obydwóch na granicy aresztowano, jako też i chłopa Kircpka z Majdanu za to, że owym Moskalom dawał u siebie przytułek.

Nasi urzędnicy gminni mają zacnego kolegę w Dobromilu. Tamtejszy burmistrz, żyd, wyjechał do kąpiel a zastępstwo jego objął inny rzetelny żydek, którego Starostwo już dwa razy karało za sprzedawanie śmierdzących płucek. W wolnych chwilach pan wiceburmistrz dobromilski puszcza krew wieśniakom i stawia bańki. Niema co mówić, ładnych mamy dygnitarzy.

Dezerterzy wojskowi, którzy wykradli rożne papiery i plany z komendy wojskowej w Krakowie, przyznali się przy śledztwie, że ich do tego namówił pewien oficer moskiewski a nawet dostarczył im narzędzia, do włamania się do wnętrza komendy.

Przestroga przed wychodźctwem do Ameryki.

Z Polanki Wielkiej przy Oświęcimiu piszą do *Gwiazdki Cieszyńskiej:*

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Upraszam o jak najrychlejsze podanie tego mego pisma do „Gwiazdki“, ażeby raz przecież naszych braci oświecić, żeby już więcej do Ameryki nie wyjeżdżali. Od nas z Polanki Wielkiej z początkiem maja b. r. pojechało do Ameryki czterech ludzi. Wymieniam ich nazwiska, ażeby każdy uwierzył, że to jest rzeczywista prawda. Ludzie ci nazywali się: Franciszek Drabczyk, Piotr Wąsik, i Mikołaj Bratek i wzięli pieniędzy ze sobą po 190 zlr., zaś Mikołaj Bratek wziął tylko 120 złr. i nie mógł z tymi trzema dojechać do Ameryki, bo miał za mało pieniędzy. Wszyscy razem zajechali do Bremy; co się z Bratkiem stało, niewiadomo, bo nic nie pisał. Podobno został sprzedany do Brazyli jako niewoinik. Franciszek Drabczyk pisze list z Ameryki, że już dojechał, tej treści:

„Kochana żono! Z boleścią serca piszę do ciebie; łzy mi się z atramentem mięszają, żem opuścił swoję najukochańszą ziemię i dałem się uwieść takim ludziom, co nie mają dobrego serca. Jestem teraz w Chicago i znajduję się w okropnem położeniu, bo pieniądze się już kończą a roboty nijakiej nie ma. Gdyśmy przyjechali do Chicago, widzieliśmy się z braćmi Polakami i mówili nam ci dobrzy ludzie: „Pocoście tu bracia przyjechali, kiedy tu okropna bieda, roboty nie ma, a jeśli się gdzie trafi, to za bezcen trzeba robić jak bydlę, a ani na życie nie można wystarczyć bo tu w Chicago jest robotników, co nie mają obowiązku ani żadnej roboty 33 tysiące! i zdaje się, że wszyscy z głodu musimy zginąć w tak bardzo dalekim nieznanym kraju.“ Kochana żono! proszę cię, poślej mi pieniędzy, żebym się mógł jeszcze z tobą wi-

dzieć i oglądać moję ukochaną ziemię; bo jakbyś mi nie przysłała, to muszę z głodu umrzeć.“

Do mnie zaś pisze:

„Kochany szwagrze! Bądź tak dobry i podaj to do gazet jak najprędzej, ażeby żaden do Ameryki nie jechał, bo tu w Ameryce jest największa bieda.“

Otoż czynię zadość jego woli i proszę o umieszczenie tego w *Gwiazdce Cieszyńskiej*.

Smutna nowina. Do Lwowa nadeszła wiadomość, że baron, żyd Hirsch, bankier z Paryża, przeznaczył 8 milionów reńskich na zakupno ziemi w naszej biednej Galicyi, i zamierza ją rozparcelować a potem osadzić na tych gruntach żydów, których wydala Rosya Jeżeliby ta pogłoska się sprawdziła, byłoby to dla naszego kraju wielkiem nieszczęściem. Wówczas Galicya stałaby się już zupełnie żydowską a my musielibyśmy chyba pójść w świat z torbami. Miejmy atoli nadzieję, że Rząd na to nie pozwoli i kraj cały oprze się temu stanowczo.

Wróżka. Jak to wróżki oszukują nasz lud, niech posłuży następujący przykład. Do pewnej wsi w naszym kraju przybyła niedawnego czasu żydówka i zamieszkała w karczmie. Wnet rozeszła się po wsi wieść, że przybyła wróżka i zaczęli się do niej schodzić wszyscy młodzi i starsi, dziewczęta i chłopcy. I działy się rzeczy dziwne. Wróżka każdemu zgadywała prawdę. Przyszła naprzykład jakaś dziewczyna, to owa żydówka-wróżka powiedziała jej zaraz, że jest sierotą, że matka jej spaliła się; innej znowu powiedziała, że ma niedobrą macochę; słowem mówiła rzeczy prawdziwe, a wieśniacy się dziwowali. Kiedy już w ten sposób zyskała zaufanie włościan, zaczęła im wróżyć przyszłość. Włościanie obałamuceni płacili jej za to dość dobrze, i kto wie dokąd daliby się byli tak wyzyskiwać, gdyby jeden z nich, posiadający więcej rozumu i nauki, nie był odkrył oszustwa owej żydówki. Pokazało się bowiem, że szynkarka, która w czasie takich wróżeń zawsze była w karczmie, w szwargocie żydowskim, opowiadała tej wróżbiarce wszystko co wiedziała o tej osobie, która szukała porady u wróżki, a szynkarka znała doskonale wszystkich. Ową wróżkę oddano do sądu, gdzie pewnie już nic nie wywróży, chyba areszt dla siebie.

Pielgrzymka młodzieży polskiej do Rzymu. Katolicka młodzież z całych Włoch wydała odezwę do młodzieży katolickiej całego świata, aby pospieszyła do Rzymu, w celu uczczenia 3-setnej pamiątki śmierci św Alojzego J. Eminencya Najprzew. Kardynał Książe Biskup Dunajewski pochwalił tę piękną myśl i z jego polecenia wydał ks. proboszcz Smoczyński z Tenczynka pod Krakowem odezwę do młodzieży naszej, by wzięła udział w pielgrzymce, która pod przewodnictwem ks. Smoczyńskiego wyruszy z Krakowa 21 września b. r. Prócz młodzieży mogą także wziąść w niej udział i inne osoby. Ktoby miał ochotę przyłączyć się do tej pielgrzymki, może się zgłosić do ks. Smoczyńskiego w Tenczynku (poczta Kraków). Jeżeli komu pozwalają na to fundusze, to niech korzysta z tej sposobności i spieszy na grób św. Alojzego oraz do stóp Ojca św. który z pewnością z wielką radością przyjmie pielgrzymów polskich, bo Polacy są jednemi z najulubieńszych jego dzieci.

Żydzi których wypędza Rosya, przybyli w znacznej liczbie przed kilkoma tygodniami do Krakowa, by stamtąd powędrować do Ameryki Ponieważ jednak nie mieli tyle pieniędzy ile potrzeba na tę podróż, przeto policya krakowska odesłała ich napowrót do Husiatyna z poleceniem, aby ztamtąd zwrócono ich do Rosyi.

Skutki gry w karty. Pewien czeladnik szewski w Przemyślu grał z drugim czeladnikiem w karty i zgrał się do nitki, czyli przegrał wszystko co miał. Po tem zażądał zwrotu pieniędzy, a gdy mu ów drugi gracz nie chciał zwrócić wyszedł z szynkowni, gdzie obaj grali, poszedł do domu po gnyp i dopadlszy swego towarzysza na ulicy zadał mu kilka ran w plecy i piersi. Oto są skutki gry w karty!

Ziemie polskie.

Niebezpieczną jest rzeczą spać pod gołem niebem, czyli na wolnem powietrzu i do tego na trawie. Gazeta szląska *Katolik* donosi, że pewnego czeladnika szewskiego w Prudniku, gdy spał na trawie, ukąsił jakiś robak, zatruł mu krew i wskutek tego wnet umarł, bo na to żaden lekarz nie mógł mu poradzić.

W Raciborzu na Szląsku pruskim odbył się z początkiem lipca *wiec* czyli zebranie katolików szląskich.

Najpierw obradowali Niemcy i Polacy wspólnie, potem według poprzedniej umowy, Polacy obradowali osobno. Na wiecu tym przemawiali ludzie świeccy i kapłani. Uchwalono starać się wszelkiemi siłami u rządu pruskiego o to, by naukę religii udzielano w szkołach w języku polskim a nie w niemieckim, jak jest dotychczas. Prócz tego powzięto wiele innych pięknych uchwał dla dobra Kościoła. Zdałoby się bardzo, aby i u nas w Galicyi odbyło się kiedy takie podobne zebranie. We wszystkich prawie państwach zbierają się katolicy na wspólne narady, tylko u nas jakoś cicho pod tym względem. To tak się wydaje, jakby między nami nie było już gorliwych katolików, a przecież tak nie jest, więc należałoby i nam pomyśleć o zwołaniu wiecu katolickiego.

Nieszczęśliwi. W osobnym artykule w poprzednim 14. numerze, opisaliśmy już *powrót wychodźców polskich z Brazylii.* Na tem miejscu uzupełniamy jeszcze ten obraz dodaniem opisu kilku bolesnych scen, jakie się odgrywały w Mławie dnia 27. czerwca b. r. Jeden z naocznych świadków tak je opisuje w pewnej gazecie warszawskiej:

„Dnia 27. czerwca stanął na dworcu pociąg, który przywiózł nieszczęśliwych z Brazylii. Wszystkich odprowadzono na nocleg do tutejszego aresztu, a następnego dnia odesłano do miejsc urodzenia. Gdy wypuszczono na wolność nieszczęśliwych, każdy rzucał się w objęcia swych znajomych. Byłem sam świadkiem, jak wycieńczony młody człowiek padł do nóg siwowłosemu starcowi, całując jego kolana, zawodząc żale i opowiadając, że Marychna już nie wróci do naszej ziemi, gdyż na okręcie po śmierci spuszczono ją do morza, a tam ją pożarły rekiny. Na środku ulicy spotkałem młodą kobietę, która tuliła się w objęciach zgrzybiałej staruszki, opowiadając, że jej mąż, wraz z jednem dziecięciem, pogrzebani są w Bremenie. Na szosie płockiej spotkałem całą gromadę wynędzniałych chłopów, klęczących przed figurą Boga Rodzicy i modlących się gorąco, a pomiędzy nimi zauważyłem młodego parobczaka, który, łkając i całując w pokorze ziemię, wołał: — „Wielki Boże! Tyś dozwolił nam wrócić. — Teraz Cię nigdy nie opuścimy, — będziemy szczerze pracowali, po drogach będziemy stawiać krzyże na pamiątkę, żeś nas oswobodził z niewoli brazylijskiej“. Wszyscy z radością podnieśli się i zniknęli mi z oczów. Na środku znów drogi ujrzałem tłum około jakiejś kobiety — prawie w łachmanach — która wyrywała sobie włosy z głowy. — Pochodziła ona z Gruduska;

przybiegła na spotkanie w Mławie dwóch synów i córki, ale jej oznajmiono, że wszyscy pomarli na okręcie. Z rozpaczy nieszczęśliwa dostała obłędu, wzięto ją na wózek i odwieziono do Gruduska".

Z Bytomia, na Szląsku pruskim donoszą: Trzech przemytników chciało przeszwarcować jedwab do Królestwa Polskiego przez rzeczkę Przemszę, poniżej Słupny. Żeby zmylić czujność urzędników rosyjskich, dopłynęli najpierw do Austryi, aby Moskale myśleli, że oni się do Austryi z towarem udali. Tymczasem omylili się, bo zaledwie weszli w rzeczkę, żeby odpłynąć na drugą stronę, usłyszeli „Stój!" Przemytnicy nie nawrócili, owszem co sił starczyło, płynęli dalej. Urzędnicy dali ognia. Był to sygnał dla żołnierzy zagranicznych. Skoro przemytnicy znaleźli się na brzegu, żołnierze zaczęli ich gonić, a i kozacy przytem się znaleźli. Nastąpiła prawdziwa gonitwa i przemytnikom nic innego nie pozostało, jak wskoczyć do wody i na pruskiej granicy szukać ocalenia. Naturalnie, że posypał się za nimi grad kul. Dwóch szczęśliwie się wyratowało, trzeci prawdopodobnie utonął, zraniony śmiertelnie od kul. Przemytnicy się wyratowali, ale towar, mający podług pruskiej monety wartość około 5000 marek, musieli w nurtach Przemszy zatopić, bo inaczej samiby z ciężarem poszli na dno.

Wzięła się na sposób. Z Mikołowa (na Szląsku pruskim) piszą do *Katolika*: Jakich się to czasem ma dobrych przyjaciół. Pewnej kobiecie ginęły raz po raz rozmaite rzeczy z domu, a mimo najusilniejszych starań złodzieja nie było można wykryć. Wreszcie jednak wzięła się na sposób. Zaczęła opowiadać wszystkim, że tego a tego dnia wyjeżdża. W rzeczywistości też dnia owego w izbie było spokojnie, a jej ani widać, ani słychać. Tymczasem kobieta owa nie wyjechała, tylko się w izbie ukryła i zaczaiła na złodzieja. I rzeczywiście jakoś niedługo ktoś drzwi otworzył kluczem, naturalnie podrobionym, i — wchodzi — kto? Tak zwana „najlepsza przyjaciółka". Niema co mówić, musiało być ładne zdumienie po obu stronach!

Austrya i Węgry.

Straszne morderstwo. Do pewnego mieszkania na ulicy Mariahilf w Wiedniu, wpadło w nocy kilku jakichś złoczyńców i zamordowali tam w okropny sposób dwoje państwa (żonę i męża) a pokaleczyli strasznie inne dwie osoby, który u nich nocowały. Mordercy zdołali umknąć i jeszcze ich nie odszukano. Co to są za jedni i z jakiego popowodu dopuścili się tak strasznego morderstwa, niewiadomo.

Rzym i Włochy.

Pamiątka cudu. W tym roku upłynęło sześćset lat istnienia katedralnego kościoła we włoskiem mieście Orwieto. Kościół ten zbudowano na pamiątkę następującego cudownego zdarzenia. Blisko Orwieto w miasteczku Bolsena odprawiał przed 600-set laty (w r. 1264) pewien kapłan, z rodu podobnoś niemiec, Mszę św. Kapłan ten miał powątpiewać o prawdziwej obecności P. Jezusa w Przenajświętszej Hostyi. Gdy więc w czasie Mszy św. przy Konsekracyi wymówił nad Hostyą te słowa: „To jest ciało moje", cała Hostya natychmiast ukazała się krwią zbroczona. Zdumiony i upokorzony kapłan chciał ukryć znaki Krwi Przenajdroższej, w tym celu począł składać korporał, rozpostarty pod kielichem, ale na każdej cząstce kaporału ukazywała się Hostya pokrwawiona. Bawił tam wówczas w Orwieto papież Urban IV, który dowiedziawszy się o tem, badał

sam ten cud. Później cudowną ową Hostyę wraz z korporałem przeniesiono z Bolseny do Orwieto i wybudowano na tę pamiątkę kościół Pamiątkę tego cudu obchodzono niedawno uroczyście.

Rosya.

Głód i nędza. Z głębi Rosyi dochodzą coraz większe i boleśniejsze skargi na spustoszenia w polu przez wiosenne mrozy i obecne grady i ulewy. Nieurodzaj już prawie pewny. W gubernii Kostromskiej wybuchł tyfus głodowy. W Kazaniu cierpi głód nietylko lud na wsi, ale jak dotychczas obliczono, 144 panów ze szlachty i 77 osób z tamtejszego duchowieństwa prawosławnego. W powiecie Penza żywią się tylko chlebem owsianym. Ceny zboża rosną co godzina, w ogóle wielom guberniom rosyjskim grozi wielka nędza i głód. Co na to poradzi rząd moskiewski, niewiadomo.

Dobrze się odpłacają Moskale Czechom Jak wiadomo niektórzy Czesi ciągną ku Rosyi i chcieliby należeć pod Moskala, dlatego na każdym kroku liżą łapy Moskalom i uwielbiają rząd rosyjski. Za to pięknie się im odpłaca Rosya, bo niedawno wydali Moskale rozporządzenie do Niemców fabrykantów zamieszkałych na Wołyniu, aby wydalili ze służby tych Czechów, którzy domagają się od rządu rosyjskiego, aby im dano szkoły, gdzieby mówiono po czesku a nie po rosyjsku. Nasi Czesi oburzają się na to, ale dobrze im tak, skoro tak uwielbiają Moskali.

Zemsta wdowca. Pewien mieszczanin w Petersburgu, chcąc podtrzymać nadwątlone siły żony, udawał się do najrozmaitszych doktorów, wreszcie jeden pozyskał jego zaufanie. Środki jego z początku wywierały skutek pomyślny, to też chora zastósowywała się do nich z całą ścisłością. Pewnego dnia doktor przepisał jej bardzo silne, jak mówił, lekarstwo, które odrazu miało ją postawić na nogi. Pacyentka, po zażyciu kilku doz, wyzionęła ducha. Zrozpaczony wdowiec postanowił zemścić się na lekarzu i wpadł na pomysł następujący: do krzyża nagrobkowego przybił receptę, która przyprawiła o śmierć biedną kobietę, z odpowiednią uwagą. W ten sposób wszyscy przechodnie przekonywali się dowodnie o skuteczności leków doktora X. W krótkim bardzo czasie stracił on zupełnie praktykę i musiał opuścić miasto rodzinne.

Czesi, którzy mieszkają na Wołyniu porzucają coraz więcej wiarę katolicką a przyjmują prawosławie czyli szyzmę. Wymawiają się wobec świata tem, że ich do tego zmuszają Moskale, ale to błaha wymówka, bo choć to prawda, to jednak i tak dla doczesnych względów nie powinni zmieniać wiary i zostawać szyzmatykami Unici, czyli Rusini na Podlasiu jeszcze więcej cierpią a od wiary katolickiej nie odstępują i wolą iść na Sybir i wszystko tracić. niż porzucić wiarę swoich ojców. Widać, że Czech dla miłego grosza sprzedałby samego P. Jezusa. Nie ma co ufać Czechom, oni zawsze ciągną ku Rosyi, a ich przywiązanie do katolickiej wiary, bardzo podejrzane.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stan. Baylego.